

Portret rodzinny

(Dokończenie ze strony 9)

lat w prasie hiszpańskiej korespondencji pisanych z Drozdowa, Warszawy i Poznania przez Sofię Casanova (żonę Wincentego Lutosławskiego).

W części drugiej, prowadzonej przez red. Grzegorza Michalskiego, „Witold Lutosławski – kompozytor i obywatel”, dowiedzieliśmy się o rodzinnych zamiłowaniach muzycznych Lutosławskich (Krystyna Witkowska z Warszawy), o tym jak zapamiętali Witolda jego rówieśnicy w Drozdowie i on sam swoje dzieciństwo, z archiwalnych i unikalnych nagrań Stanisławy Chyl (z Marianiowa). Danuta Gwizdalanka (Poznań) „rozliczyła” kompozytora z jego twórczości radiowej i piosenkarskiej, która do lat 60. zapewniała mu środki do życia i możliwość tworzenia muzyki poważnej. O tej zaś i jej pozycji na świecie mówił prof. Charles Bodman Rae (Adelaide). A prof. Krzysztof Meyer (Poznań), w poruszający sposób, pokazał życie kompozytora „w cieniu brunatnym, czerwonym i awangardowym”. Z licznej, rozrzuconej po świecie rodziny, Bolesław Lutosławski, bratanek Witolda (Cambridge) przedstawił „Portrety Witolda Lutosławskiego”, którego miał okazję wielokrotnie fotografować.



Siedziba Muzeum Przyrody w Drozdowie, dawny dwór Lutosławskich.

W koncercie towarzyszącym konferencji wystąpił Tadeusz Wielecki – kontrabas, mówiąc o swoim odczytaniu „Livres pour la orchestre” Witolda Lutosławskiego i wykonując, wraz z pianistką Małgorzatą Walentynowicz, własne utwory na fortepian i kontrabas. Spotkanie zakończył występ Jacka Szymańskiego – tenor i Dariusza Wójcika – bas, z Gdańska, którzy wykonali kilkanaście piosenek Derwida (Witold Lutosławski) i jego współczesnych – Artura Golda, Jerzego Petersburskiego i Henryka Warsa.

Na koniec trzeba powiedzieć – Lutosławscy, od dwustu lat obecni w tym miejscu, nie odeszli ze śmiercią w 1979 roku ostatniej dziedziczki Drozdowa Marii Niklewiczowej i nadal mają tu swój dom, a działania takie jak ta konferencja (nie jedyna w ostatnich latach), będąca dziełem Anny Archackiej, dyrektorki i Barbary Turowskiej, kierowniczką działu historycznego muzeum, poza okolicznością-

wą odświętnością podtrzymują i wypełniają funkcje bycia ośrodkiem życia kulturalnego, co przy wszystkich innych celach, było zawsze jedną z naczelnych powinności społecznego i patriotycznego oddziaływania rodziny Lutosławskich.

HENRYK GAŁA

„Portret rodzinny Witolda Lutosławskiego”, konferencja naukowa, Drozdowo 30 sierpnia 2013 roku. Muzeum Przyrody w Drozdowie, Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Instytut Muzyki i Tańca w Warszawie.

Epitafium dla pewnego międzygórzanina

„(...) tam, gdzie się kończy nieszczęście, musi zaczynać się szczęście...”

Andrzej Strumiłło, „Factum est”.

Piszę ten tekst z potrzeby zapisania tkwiących we mnie emocji związanych z pewnym człowiekiem. Nie wiem jeszcze, jakie one są; jedynie ich się domyślam. Jestem jednak przekonany, że w trakcie pisania poznam je.

Impulsem do rozpoczęcia przelewania na papier owych emocji mogło być to, że zlokalizowałem w moim księgozbiorniku trzy książki mające z nim bezpośredni związek (dwóch autorskich: zbioru esejów *Świat bez prawdy* i zbiorku wierszy *owoc ja*, a także przetłumaczonej z angielskiego *Drogi Lao Tsy’ego*). Innych Jego publikacji nie posiadam. A to z całą pewnością dlatego, że życiem i twórczością Williama Blake’a interesuję się pobieżnie. Nie to, co adresat niniejszego *Epitafium*, który nie tylko, że Blake’iem był zafascynowany, ale był jego największym znawcą wśród osób uznających język polski za ojczysty. To dlatego, bodajże w 2004 roku, jako jedyna osoba z Polski, został zaproszony do wzięcia udziału w zorganizowanej w Londynie międzynarodowej konferencji poświęconej temu angielskiemu mistykowi, malarzowi, poecie, rytmownikowi.

Jego wiedza na ten temat zogniskowała się w opublikowanym przez wydawnictwo słowo/obraz terytoria, okazałych rozmiarów tomie *Boska analogia. William Blake a sztuka starożytności*. Ta książka to *magnum opus* bohatera niniejszego tekstu.

Nie wykluczam jednak i tego, że w pewnym momencie szczególnie mocno dał o sobie znać żal związany ze śmiercią człowieka, który mógł jeszcze wiele zdziałać? Zmarł przecież w wieku ledwie 62 lat. Dobrze pamiętam swoje myśli, a były one niezwykle poruszone, wręcz rozedrgane, gdy dowiedziałem się 18 grudnia 2010 roku o jego śmierci (nastąpiła tego właśnie dnia). Choć dla kogoś bliżej związanego z nim i jego rodziną, dysponującego dzięki temu wiadomościami

najaktualniejszymi, to odejście pod koniec owego roku, nie było może zaskoczeniem. Ale ja, otrzymawszy jakieś trzy miesiące wcześniej informację o poprawie stanu jego zdrowia, pozostałem przy tej optymistycznej wiadomości. Wręcz liczyłem na to, że następna będzie jeszcze pomyślniejsza.

Na moje myślenie o nim, owocujące m.in. tym oto tekstem, wpływ ma również świadomość, że mieszkał w pięknym miejscu – w górach, a konkretnie w Międzygórzu, u stóp Masywu Śnieżnika. I zamieszkiwał je od drugiego roku życia (urodził się w 1948 roku w Warszawie). A tak się składa, że sześć dni przed rozpoczęciem pisania *Epitafium* zjawilem się w Międzygórzu. Byłem tam pierwszy raz. Chciałem zobaczyć miejscowość malowniczo położoną w dolinach Wilczki i Bogoryi. W znacznej części zabudowaną pochodzącymi z XIX wieku domami w stylu tyrolskim. Przyjechałem jednak przede wszystkim ze względu na Niego. Pragnąłem bowiem odwiedzić jego grób znajdujący się na niewielkim cmentarzu. Jak też rzucić okiem na dom, w którym mieszkał. Pragnienia te spełniłem. Z tym, że gdy patrzyłem na dom (nie jest w stylu tyrolskim), od drogi gruntowej oddzielony bukszpanowym żywopłotem (czuło było delikatny zapach bukszpanu), nie wiedziałem, że to właśnie ten. Brałem to jedynie pod uwagę. Posiadałem bowiem informację, że stoi na obrzeżach Międzygórza, przy jednym ze szlaków turystycznych wiodących do Sanktuarium Matki Boskiej Śnieżnej, znajdującego się pod szczytem Iglicznej.

Tego, któremu to *Epitafium* jest poświęcone, nie staram się opisać takim, jakim był. Nie jest to absolutnie moim zamiarem, a mógłbym podjąć taką próbę choćby z tej racji, że znam spore grono osób, które znały Go dobrze bądź bardzo dobrze. Nie będę więc próbował sprawić wrażenia, że i ja do nich należałem. Dlatego, od początku do końca, tekst ten będzie subiektywnym i fragmentarycznym opisaniem człowieka, z którym spotkałem się (jedynie!) kilkanaście razy. A w cztery oczy rozmawiałem dwu-trzykrotnie, gdy natknęliśmy się na siebie we Wrocławiu. Pamiętam, że jedno z takich spotkań miało miejsce przy wejściu do siedziby Ossolineum, od strony Zaułka Ossolińskich. Akurat stamtąd wyszedłem, a On miał zamiar wejść. Spotkań i rozmów najpewniej byłoby więcej, gdybym poznał go wcześniej, i przez kilka lat nie przebywał poza krajem. A już na pewno częstotliwości tych kontaktów sprzyjałoby to, gdybyśmy zamieszkiwali tę samą miejscowość: Wrocław albo Międzygórze.

Mimo braku znamion zażyłości z nim, piszę *Epitafium* jemu poświęcone. Odczuwam bowiem taką potrzebę, bo teraz, gdy nie ma go wśród żywych, pojawiło się Coś, co zasługuje na miano... bliskości.